

Michał Łuczak

Zło konieczne czy zapobieganie?

Na wstępie krótka informacja: na terenie województwa poznańskiego znajduje się 110 ZLZ-ów (zakładów leczniczo-zapobiegawczych), zorganizowanych przy zakładach pracy. W placówkach tych działa 109 lekarzy, ale wśród nich znajduje się zaledwie 15 specjalistów z zakresu medycyny przemysłowej. Na pociechę można powiedzieć, że jest to ogromny postęp w porównaniu z sytuacją z roku 1956. Mimo wszystko medycyna przemysłowa — prawa ręka bhp — nadal znajduje się w powłokach. Świadczy o tym również o tym statystyki ujawnionych przypadków chorób zawodowych. W 1960 r. stwierdzono 40, a w 1961 roku — 146 przypadków chorób zawodowych i związanych z wykonywaniem zawodu (nawet laik powie, że dane te nie odzwierciedlają stanu faktycznego).

Kręte ścieżki rozwoju medycyny przemysłowej

Wypada tu wyjaśnić zwrot „choroba związana z wykonywaniem zawodu”. Obowiązujący spis chorób zawodowych pochodzi z 1928 roku i rzecz jasna, jest anachronizmem. W tej sytuacji trzeba było wprowadzić pojęcie „choroby związanej z wykonywaniem zawodu”. Swoją drogą czas nagli i uaktualnienie wspomnianego spisu — co ma kapitalne znaczenie dla tysięcy pracowników — urosło już do rangi palącego problemu.

Przed wszystkim wspomnieć trzeba o istniejącym jeszcze antagonizmie: lekarz — kierownictwo zakładu.

Gdy plan zasłania człowieka

Nie jest dobrze, gdy kierownictwo zakładu nie interesują kłopoty i trudności przemysłowej służby zdrowia. Są nawet zakłady, gdzie lekarza uważa się za... intruza przeszkadzającego w wykonaniu planu. Oczywiście „teorii” takich raczej się nie wygłasza. Nie jeden jednak dyrektor hołduje praktycznie zasadzie: „im mniej lekarzy — tym mniej chorób, a wobec tego łatwiej wykonać plan”. Stąd też wiele ingerencji lekarskich w dziedzinie bhp jest przyjmowanych nieprzychylnie.

W lekarskim świecie opowiada się autentyczne zdarzenie o nieco anegdotycznym posmaku. Rzecz dzieła się w jednym z podpoznańskich zakładów. Urzędujący tamże lekarz kilkakrotnie zwracał kierownictwu uwagę na konieczność załatwienia dziur w posadzce hali produkcyjnej. Działo to jak przysłowio- wy groch o ścianę. Pewnego dnia kierownik produkcji stąpnął jednak tak nieszczęśliwie, że doznał kontuzji. Wtedy — już bez zwlekania! — przystąpiono do naprawy podłogi.

O tym, jak silne jest niezrozumienie potrzeb w dziedzinie ochrony zdrowia pracowników, świadczą choćby okresowe badania. Jeden z ostatnich głośnych procesów wykazał, że na przykład w niektórych spółdzielniach mleczarskich badania takie, wbrew istniejącym przepisom, nie były

przeprowadzane przez kilka lat. A kiedy kierownictwo zakładu sprowadziło wreszcie „prywatnego” lekarza, to skutek jego działalności był taki, iż, wystawiał on karty zdrowia jedynie na podstawie badania osłuchowego (bez dokonania prześwietlenia płuc i innych badań). Takie praktyki groziły dopuszczeniem chorych pracowników do produkcji środków spożywczych.

Warto wspomnieć o pomieszczeniach dla zakładów leczniczo-zapobiegawczych. W 50 procentach są to lokale nieodpowiadające skromnym nawet wymogom.

Lekceważenie zadań medycyny wpływa negatywnie także na uposażenie lekarzy. Nie kto inny bowiem jak zakład uprawniony jest do występowania o premię dla lekarza (wydziału zdrowia mają także takie prawo, ale z reguły zeń nie korzystają). Oczywiście, tego rodzaju wniosku się nie składa, jeśli lekarz traktowany jest jako zło konieczne.

O tym, że lekceważenie zdrowia pracowników jest — choćby ze względów ekonomicznych — krótkowzroczne, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Zmiana tego stanu rzeczy zależy przede wszystkim od rad zakładowych. Właśnie komórkę związków zawodowych, których jednym z głównych zadań jest obrona pracowniczych interesów, winny śmiało angażować się w likwidowanie konfliktu dyrekcja — lekarz, konfliktu, który nie ma u nas jakiegokolwiek racji bytu.

Potrzeba koordynacji

Pomoc rad zakładowych dla zakładów leczniczo-zapobiegawczych — to jeden z warunków pomyslnego rozwoju medycyny prze-

Dokończenie na str. 2

miłości i dla miłości. Stare przysłowie mówi, że nie samą miłością człowiek żyje. Jest mu potrzebna praca, praca zawodowa i społeczna, która wypełnia większość dnia. Dlaczego tej działalności nie po-

Nadmiar miłości

święcić chociażby jeden lub dwa utwory śpiewacze?

Pod tym względem nasz repertuar nie jest ucale bogaty. Piosenka — wiadomo — składa się z dwóch części: tekstu i melodii. Wiele tekstów poetyckich znalazłoby się w wyborach wierszy Staffa, Tuwima, Broniewskiego i

innych poetów. Jeśli chodzi o melodie — skromna prośba do kompozytorów o ich napisanie.

A może by tak ogłosić konkurs na jedno i drugie? Na przykład na piosenkę o trudach górnika, hutnika, rolnika, działacza kulturalnego, bibliotekarza, nauczyciela, woźnego, księgowego, transportowca, mechanika, ceramika i innych zawodów? Piękna inicjatywa dla poszczególnych związków zawodowych.

Przy tej okazji kilka słów o ujawniającej się tu i ówdzie chorobie na piosenki z tekstem angielskim. Nie tak dawno wykonano ich kilka na imprezie przeznaczony dla górników w Wapnie. Jeden z nich nie znał tego języka, był to dla niego swoistego rodzaju melodyjny bełkot. Wykonawcy może byli zadowoleni z niecodziennego popisu, ale coś to daje słuchaczowi?

PYK

I co dalej...

Z teki

Józefa Myszkowskiego

Paweł Chmaj

bohater pilnie poszukiwany

Jakże w zawiłych czasach żyje nasza młodzież! Herbert Żukower pisał w jednym z ostatnich numerów „Polityki”, że współczesna rodzina jest wszystkim tylko nie instytucją wychowawczą. Nigdy nie spełniała zresztą tej roli w historii. „Lepsze”, to znaczy zamożniejsze rodziny powierzały wychowanie swoich dzieci najemnym piastunkom, bonom, wychowawcom bądź umieszczają je na różnych „pensjach”. Sami kierowali procesami tzw. wychowania tylko ci, których nie było stać na opłacenie „pensji”: chłopstwo, proletariatus, drobniemieszczanstwo. Do czego więc ograniczyła się (i niestety w olbrzymiej większości przypadków ogranicza się do dziś) wychowawcza funkcja rodziny? Najczęściej do przekazywania uświęconych tradycji postaw, poglądów, konwenansów, zwyczajów, pewnego sposobu „zachowania się”.

I czyż może być inaczej? Czyż znając kłopoty społeczeństwa z do-

borem i wykształceniem nauczycieli, kształceniem, które trwa lata całe, można przypuszczać, że milionowe rzesze rodziców o różnym poziomie wykształcenia, kultury i etyki, o różnych mentalnościach i postawach życiowych, składają się z samych pedagogów? Ze wychowują swe dzieci w duchu socjalistycznym?

A szkoła?

Ta, zdaniem Żukowera, w ogóle nie jest nastawiona na wychowanie.

„Nasza obecna szkoła w swej gonitwie za programem, za ogromną ilością materiału, w gonitwie nauczyciela za godziną lekcyjną, nie tylko traci z pola widzenia problematykę dziecka, ale również gubi po drodze i połowę problematyki ucznia. Gdy tylko zetknie się z poważniejszym problemem ucznia, natychmiast posyła do rodziców...”

I gdy taki uformowany przez spłot przypadku i tradycji, ubożuchny duchem, rozumem i doświadczeniem człowieczek osiągnie wiek lat 16, co dziesiąty trafia w szeregi Związku Młodzieży Socjalistycznej. Na ZMS spada więc główny ciężar ukształtowania poglądów jego członków.

Związek traktuje swe zadanie w sposób bardzo zasadniczy. Ma najlepsze chęci i wolę czynu. Nie zawsze ma jednak odpowiednie możliwości, jako że w ostatecznym rachunku także zależny jest od umiejętności wychowawczych... rodziców. Rodziców zajmujących dla odmiany różne stanowiska w fabrykach, związkach zawodowych, stowarzyszeniach kulturalnych, naukowych, technicznych itp.

A rodzice? — Patrz wyżej.

„Jesteśmy dziś społeczeństwem bardzo młodym — pisali w swym referacie programowym na IV Wojewódzkiej Konferencji ZMS-owcy — prawie połowa narodu to ludzie do 25 roku życia... Jeśli nie są oni idealni, to przecież nie bez wpływu na to pozostaje fakt, że żyją w społeczeństwie nie wolnym jeszcze od piętna przeszłości, od konfliktów i walk ideowych, od ścierających się postaw w domu rodzinnym, w szkole, na ulicy, w fabryce i w urzędzie. Dużo jest jeszcze starych śmieci, wilczych praw międzyludzkich, cwaniactwa, wygodnictwa, obłudy, nieuczciwości która poplaca, kłamstwa które owocuje.”

Pytania nie retoryczne

Stając w szeregach ZMS, młodzi ludzie szukają odpowiedzi na pytanie, jak żyć, za czym się opo-

wiedzieć, z czym w gąszczu współczesnych konfliktów i problemów wiązać swój los? Szukają odpowiedzi i znajdują ją, dokonując najważniejszego w życiu wyboru.

Czy my rodzice, doceniamy rolę ZMS?

Młodzi nas krytykują, żądają uznania swoich praw, żądają pomocy. My się często zrywamy i opędzamy od nich, jak od natrętnej muchy.

Oni pierwsi wzięli na siebie niewdzięczne zadanie odrodzenia wszystkich szlachetnych pierwiastków ruchu współzawodnictwa pracy. A my rodzice udajemy, że inicjatywy ZMS nie widzimy.

Oni pierwsi założyli w fabrykach „kasy oszczędności stali”. A my rodzice jakże często traktujemy je jak zabawę w chowanego.

ZMS-owcy wreszcie rzucili piękne hasło „Młodzież 5-latce”, inicjują czynny produkcyjny, rwą się do odpowiedzialnych zadań, chcą, by ich wkład w budowę nowej Polski był jak największy. A coż my, starzy sceptycy? Zamiast im pomagać, zapalać do czynu co dzień te nowe setki kipiących energią tytanów — mrużymy porozumiewawczo oko. Chcecie dowodów, przykładów? Młodzież nam ich może dostarczyć aż nadto. Z Poznania, Lubonia, Leszna, z Piły, Konina, Kalisza. Lepiej więc nie wywołujmy wilka z lasu. Wstyd będzie rejterować w rozsypce.

ZMS-owcy pytają: dlaczego tak jest, że młodzież stanowi w związkach zawodowych 16 proc. ogółu członków, a w radach zakładowych i innych władzach związkowych jest reprezentowana w niespełna 2 proc.? Dlaczego nie liczą się z naszą opinią samorządy robotnicze, rady narodowe. Kiedy w takim razie i gdzie mamy uczyć się trudnej sztuki rządzenia krajem?

Pytania bynajmniej nie retoryczne, jeśli zważyć wszystkie zarzuty, jakie lekką ręką zwykliśmy rzucać pod adresem młodzieży: że jest mało aktywna, że nie chce się uczyć, że jest wicherzyliwska itd. Wicherzyliwska! — Ale w stosunku do jakich postaw i zjawisk? Nie chce się uczyć! Ale czego, gdzie, i jakimi metodami? Za mało aktywna! Gdzież ma więc ujawnić swoją aktywność jeśli w gospodarce nie traktujemy jej jako poważnego partnera?

Młode pokolenie nie jest „z natury” złe. Już Napoleon stwierdził, że „nie ma złych żołnierzy, mogą być tylko źli dowódcy!”

Robert Ludwik Stevenson

Czy to było Morderstwo?

Tłumaczył J. S. ZAUS

Robert Ludwik Stevenson (1850—1894) — angielski powieściopisarz, poeta i eseista, znany jest u nas z wielu powieści i opowiadań historycznych i podróżniczych. Początkowo pracował jako dziennikarz pisząc sprawozdania z licznych podróży po Francji. W roku 1879 wyjechał do Ameryki. W następnym roku wraca jednak do Anglii i pisze swoją słynną powieść „Wyspa skarbów”. Od tej chwili rozpoczyna się okres sukcesów, obfitujący w liczne powieści historyczne i podróżnicze. Stevenson został uznany, obok Verne'go, za jednego z najlepszych pisarzy dla młodzieży.

Następne powieści to: „Czarna strzała” (1888), „Porwany za młodu” (1887), „Mr. Jekyll i Mr. Hyde” i wiele opowiadań szkockich, oddających doskonale atmosferę rodzinnych stron pisarza.

W roku 1887 publikuje tom poezji („Underwoods”) i w tym samym czasie odbywa podróż do Ameryki, gdzie osiąga szczyt swej twórczości.

Poniższe opowiadanie (po raz pierwszy tłumaczone na język polski) pochodzi z lat 1889—1890, to znaczy z okresu późniejszego. W tym czasie pisarz prawdopodobnie zetknął się z twórczością Williama Wilkie Collinsa (1824—1889), który wraz z Emilem Gaboriau (1835—1873), był ojcem „romansu kryminalnego”.

Mój przyjaciel, hrabia — w ten sposób rozpoczął swą opowieść — nienawidził pewnego barona niemieckiego, przebywającego w Rzymie. Jaka była przyczyna wrogości stosunku hrabiego, w tym przypadku nie ma najmniejszego znaczenia, ważny jest jedynie sam fakt powzięcia przez niego silnego postanowienia dokonania zemsty. Dla zabezpieczenia swych planów zachował je w sekrecie przed baronem.

Zdarzyło się to pewnego dnia, gdy hrabia jechał przez położone z dala od centrum przedmieścia. Nagle znalazł się na leżącej na uboczu i nie uczęszczanej rozgałęziającej się drodze, prowadzącej do bagnisk nieopodal Rzymu.

Po jednej stronie znajdował się starożytny rzymski grobowiec, po drugiej opuszczały dom stojący w otoczeniu drzew. Droga przywiodła go na miejsce wśród ruin. Wprost przed sobą dojrzał uchylone drzwi, a opodal pojedynczą karlowatą sosnę, nie większą niż krzak czarnej porzeczki. Miejsce to było opustoszałe i dziwnie tajemnicze, przeczuje powiedział hrabiemu, że za tymi drzwiami znajdzie coś, z czego mógłby skorzystać. Przywiązał więc konia do drzewa i zabrawszy krzesiwo wszedł do środka. Wejściem tym doszedł do przedsionka starszorzemskiego kamiennego budynku. Przedśrodek rozchodził się w dwóch kierunkach, hrabia poszedł w prawo stąpając po omacku. Szukając drogi w popołudniowych ciemnościach doszedł do czegoś, co z dotyku przypominało ogrodzenie wysokości około łokcia. Ogródek ten zamykało dalszą drogę. Spróbował wyczuć grunt nogą i natrafił na krawędź polerowanego kamienia, za którym znajdowała się próżnia. Cała jego ciekawość została teraz rozbudzona, zabrawszy trochę spróchniałego drewna rozrzuconego na posadzce, rozpałił ogień.

Ujrzał przed sobą głęboką studnię; niewątpliwie kiedyś czerpano z niej wodę i użytkownik postawił to ogrodzenie. Hrabia przez dłuższą chwilę stał pochylony nad poręczą patrząc w czarny otwór. Budowała ta była dziełem Rzymian, i jako że cały ten naród stawiał swe budowle tak, by przetrwały wieki, ściany były wciąż proste a spoiny gładkie. Dla człowieka, który by wpadł tam nie było ratunku!

„A więc — pomyślał hrabia — przeczuje przywiodło mnie do tego miejsca. Po co? Dlaczego miałbym wpatrywać się w tę studnię?” Wtem ogrodzenie ugięło się pod naporem jego ciała, a on sam znalazł się o włos od przepaści. Odskakując do tyłu, ratując się przed upadkiem, zdepnął ostatnie płomienie swego ogniska.

Czyż przyszedłem tu po śmierć? — powiedział i zadrżał, przyszła mu bowiem wówczas do głowy straszna myśl. Podczołgawszy się na kolanach do krawędzi dołu starał się zbadać przestrzeń ponad sobą. Poręcz przy-mocowana była do dwóch wysokich

Ciąg dalszy na str. 3

Piotr Chojnacki

Mieszkaniowa 5-latka po roku

Mimo iż uchwała sejmowa o planie 5-letnim gwarantuje Poznaniowi budowę 44,5 tysiąca izb mieszkalnych, to jednak w drugim roku realizacji tego planu, komisja Gospodarki Komunalnej Rady Narodowej nie może się jakoś doliczyć wszystkich inwestorów, którzy w sumie mają finansować owe planowane dla miasta izby.

Jak dotychczas, nie budzą wątpliwości plany dwóch inwestorów: samej rady narodowej (15.300 izb) i spółdzielni mieszkaniowej (12.700 izb). Pozostali inwestorzy, kryjący się w planach pod nieco anonimowymi tytułami: budownictwa zakładowego i budownictwa indywidualnego, mający przysporzyć miastu niebagatelną liczbę 17.500 izb, stanowią dużą niewiadomą.

Budownictwo zakładowe

Ma ono dać w 5-latce 9.246 izb. Pozycja w planie poważna. Rada narodowa powinna już dawno wiedzieć, które zakłady będą budować własne domy, gdzie chcą budować i kiedy, ile w tych domach będzie mieszkań i jakich? Powinna wiedzieć m. in. i dlatego, że przecież ona zabezpiecza tereny pod budowę, koordynuje plany budownictwa z planami robót swoich przedsiębiorstw komunalnych, z planami rozwoju komunikacji, handlu, usług itd.

Tymczasem rada narodowa i jej komisja gospodarki komunalnej, ma duże kłopoty z zebraniem tych danych. Po kilku wezwaniach rejestrowano tylko część przewidywanych w planie budownictwa zakładowego izb. Wielu inwestorów przy nosiło swe plany „w błóku”, jeszcze nie zatwierdzone przez konferencje samorządu robotniczego i resorty, a więc bez zapewnionego pokrycia finansowego. Reszta potencjonalnych inwestorów zakładowych milczy. Do dziś nie wie bowiem, czy będzie budować mieszkania, ile i kiedy? Istnieje także potencjalne niebezpieczeństwo, że resorty mogą podzielić przyznane im przez państwo środki według innego klucza

niż to przewidują ramowe wskaźniki uchwały sejmowej dla poszczególnych miast, lub że zaczną przyznawać zakładom limity w końcu 5-latki. W obu tych przypadkach plan miejski byłby zagrożony, do czego nie wolno dopuścić.

Budownictwo indywidualne

Wydaje się, że w planie ubiegłorocznym nie doceniono inwestycyjnych możliwości indywidualnych ciułaczy. Sądzone, że zdołają oni wybudować 931 izb podczas gdy faktycznie wybudowali 1.165. Zjawisko to może się powtórzyć jeszcze i w bieżącym roku, lecz czy powtórzy się w przyszłym? — Niewiadomo. Mimo przekraczania wskaźników planu, budownictwo indywidualne w mieście nie ma już tendencji do wzrostu i raczej od 2 lat maleje. W końcu 5-latki i w tej pozycji może powstać pewien niedobór izb, który trzeba będzie czymś zapełnić. Czyż? Budownictwem z odpisów

Zagrożone inwestycje

funduszy zakładowych? Te także mają tendencję malejącą!

Tak więc sytuacja ogólna w budownictwie mieszkaniowym miasta w drugim roku 5-latki nie jest całkowicie jasna. Nie powinien nas także uspokajać fakt wykonania, a nawet przekroczenia zadań pierwszego roku planu — bo:

▲ po pierwsze — plan 1961 roku był o ponad 1.500 izb niższy od średniej liczby izb przypadających do budowy na ten rok z planu 5-letniego;

▲ po drugie — budowę poważnej części izb oddawanych do użytku w roku ubiegłym rozpoczęto w końcu ubiegłego 5-latki;

▲ po trzecie — niedobór mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych sięga już 340 mln. złotych. Szereg budów nie ma wykonawców.

Zaczyna więc rodzić się spór o to, co jest społecznie ważniejsze:

zabiegiem skomplikowanym, który przeprowadza się tylko w niektórych szpitalach powiatowych.

Wstyd, że poszczególne placówki służby zdrowia, mające przecież te same cele, nie potrafią się ze sobą dogadać — powiedział jeden z dyskutantów na posiedzeniu Komisji Zdrowia WRN w Poznaniu.

Jak widać — do zrobienia jest wiele. Koniecznością wydaje się utworzenie szeregu obwodowych przychodni przemysłowych oraz intensywniejsze doszkalanie lekarzy i personelu pielęgniarskiego. Należałoby też w końcu przystąpić do opracowywania długofalowego planu zapobiegania chorobom. Jednym z warunków rozwoju profilaktyki w mniejszych ośrodkach jest zorganizowanie ruchomych punktów oświaty sanitarnej. Punkty takie istnieją w innych województwach i zdają egzamin na piątkę.

Czas by również u nas o tym pomyślano.

MICHAŁ ŁUCZAK

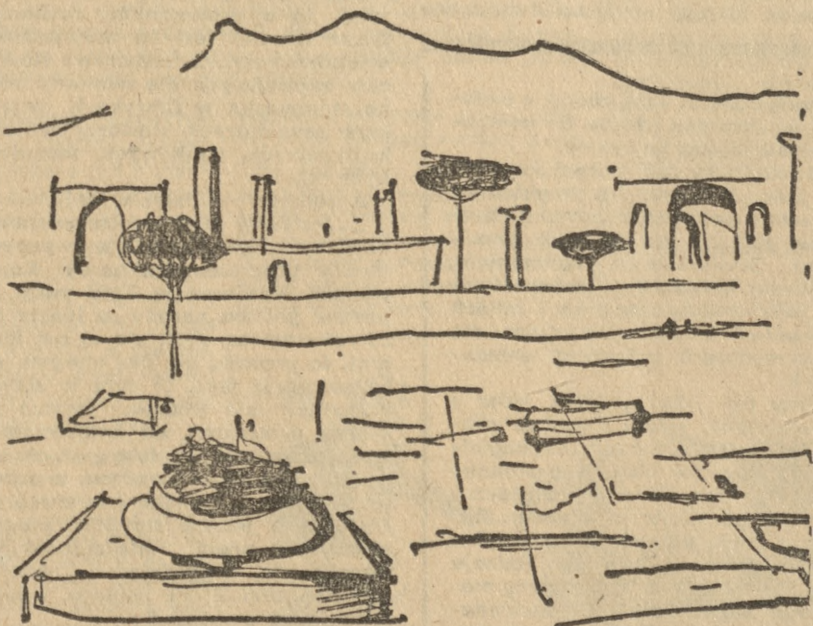
Zło czy zapobieganie

Dokończenie ze str. 1

mysłowej. Drugim warunkiem jest ścisłe i harmonijne działanie ZŁZ-ów z placówkami lecznictwa otwartego, a także z instruktorami bhp i stacjami sanitarno-epidemiologicznymi. Obecnie nie układa się to najlepiej.

Oto placówka lecznicza w kopalni Konin posiada tomograf, którego brak dotkliwie odczuwa miejscowa przychodnia przeciwgruźlicza. Kopalnia zazdrośnie strzeże jednak swego skarbu. A mieszkańcy Konina? Jeżdżą z tego powodu do Poznania!

W jednej z przyzakładowych przychodni, również w Koninie, znajduje się gastroskop. Zupełnie niewykorzystywany, jako że gastroskopia jest



Ilustr. Ewa Pruska

jedni chcą wstrzymać niektóre budowy przemysłowe i robotników przerzucić do budownictwa mieszkaniowego, szkolnego i socjalno-komunalnego, które przecież w niedoinwestowanym w tej dziedzinie Poznaniu powinno mieć w tej 5-latce priorytet; inni wołają — „kto żywności inwestycje przemysłowe!”.

Moc przerobowa

Władze miejskie uporczywie kołatały w Warszawie o zgodę na zorganizowanie w Poznaniu jeszcze jednego przedsiębiorstwa budownictwa ogólnego. Ostatnio postulat ten poparły związki zawodowe. Decyzje jednak nie zapadają. A gdyby nawet zapadły, to jedno przedsiębiorstwo już nie wystarczy. Typowe dzisiejsze przedsiębiorstwo budowlane może wybudować w roku obiekty o wartości około 200 mln. zł. Wielkopolsce brakuje dzisiaj mocy za 340 mln. zł. A jutro? Jutro będą do przerobu w Koninie i Turku 3 miliardy zł! Czy nie odbije się to na budownictwie mieszkaniowym Poznania?

Miejski 5-letni plan budownictwa mieszkaniowego jest tak ustawiony, że jego najwyższe plany roczne zbiegają się z największym natężeniem budownictwa przemysłowego. Cykl organizacji i „dotarcia” nowego przedsiębiorstwa trwa co najmniej rok. Każdy miesiąc zwłoki w podjęciu decyzji, powołania nowych przedsiębiorstw (oraz radykalnej modernizacji i zwiększenia mocy przerobowej już istniejących) może odbić się fatalnie na całym planie. Władze powinny więc szybko podjąć decyzję.

Trzeba także równie prędko dobić się w poszczególnych resortach o ich plany budownictwa zakładowego w Poznaniu oraz jeszcze raz przeanalizować możliwości inwestycyjne indywidualnych ciułaczy w zestawieniu z aktualnymi cenami materiałów budowlanych. W drugim roku realizacji planu, powinny być już znane wszystkie jego elementy.

Życie potwierdza starą prawdę: kto nie wie — jest bity.

Janusz Biniek

Co nam zostało z tych lat?

Jak wyglądały polskie filmy przed wojną? Proste działanie arytmetyczne pozwala stwierdzić, że odpowiedzi na to pytanie mogła udzielić stosunkowo nieliczna część dzisiejszych widzów. Przecież od tamtych lat minęło już prawie ćwierć wieku! Myślę więc, że dobrze się stało, iż Centralne Archiwum Filmowe zaprezentowało w ramach specjalnego przeglądu 9 filmów polskiej produkcji przedwojennej. Ludziom starszym przegląd dał okazję dla wspomnień z lat młodości, dla innych był przede wszystkim chyba bardzo pouczającą konfrontacją.

Obejrzałem dziewięć filmów, przy czym w ich doborze kierowano się głównie dążnością do przypomnienia najciekawszych lub najbardziej typowych tytułów, przy zachowaniu możliwie najszerzego przekroju gatunków. A więc obok komedii — adaptacje dzieł literackich, obok filmów, w których grali wybitni aktorzy — melodramaty, z osławionym „arcydziełem” pani Heleny Mnisek — „Tęgota”.

Ciekawe było śledzić reakcje widzów. Byli tacy, którym tży ciurkiem ciekły z oczu, inni znów — szczególnie młodzi — wzruszali po seansie ramionami: „mowa”! Jedni i drudzy mieli jakieś swoje racje.

U pierwszych olbrzymi wpływ miał „dawnych wspomnień czar”. Oglądali przecież te filmy, gdy byli młodzi, śpiewane w nich szlagiery były ich szlagierami, a aktorzy — ich ulubieńcami. Jak to powiedział poeta? „W młodości i trawa bardziej zielona...” Trudno więc w tym przypadku wymagać bardziej obiektywnej oceny.

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że sztuka filmowa w ogóle zrobiła olbrzymi krok naprzód. Zmiany te stały się najbardziej widoczne, gdy popatrzymy na aktorstwo. Oczywiście — w niejednym z prezentowanych filmów spotykamy znakomite aktorstwo, ale w większości będą to takie nazwiska, jak: Fertner, Znicz, Junosza-Sępowski i inni, a więc aktorzy starszego pokolenia. Natomiast młodzi, a zwłaszcza modne naówczas gwiazdy... Człowiek zachodzi dziś w głowę, co mogło wywoływać ów zbiorowy szal popularności, jaką cieszyła się Jadzia Smosarska. Przecież tu nawet o cieniu aktorstwa nie może być mowy, nie mówiąc już o poprawnej dykcji... Ale nawet u aktorów z prawdziwego zdarzenia, młodszych (wówczas) pokolenia, razić dziś musi nadmiar ekspresji, który ktoś złośliwie po jednym z seansów nazwał „namiętnym przetwarzaniem oczami”. Zmienił się sposób interpretacji, zmienił się wreszcie — co równie ważne — typ samego bohatera-amanita, w sensie choćby jakiegoś czysto zewnętrznego ideału urody?

A społeczny sens filmów? Z nielicznymi wyjątkami polski film przedwojenny wycelowany był jedynie na kasowocę. Śląd też brało się schlebienie mniej wybrednym guśtom, dążność do uzyskania dużych zysków możliwie najmniejszym kosztem (na przykład w „Barbarze Radziwiłłównie” posiadłość Radziwiłłów przypomina raczej dworek jakiegoś szlachetki a nie możnowładcy). Oczywiście — nie mogło się to nie odbić ujemnie na efektach artystycznych. No i wreszcie — niechęć do podejmowania jakiegś istotniejszego problematyki, ciągłe nawracanie do bezpiecznego, wygodnego wzorca „biednej panienki i bogatego narzeczonego” lub „ulańskich przygód”.

Tak więc najobronniejszą ręką z twardej oceny czasu wyszły bezpretensjonalne komedie. Na przykład „Zapomnianą melodię” ogląda się jeszcze dziś z dużą satysfakcją. Błahe to, bo błahe, ale dobre, choć nie nowe pomysły, warika akcja, żywe tempo — no i wiele humoru sytuacyjnego. Trochę smutno robi się na myśl, że — mając i po wojnie niezgorszych aktorów, na przykład Dymśkę — nie potrafiliśmy wykorzystać choć w części ich komediowych możliwości.

Co nam zostało z tych lat? Trochę wspomnień, przyjemne melodie, komedia i starzy aktorzy. Chyba nie spodziewaliście się więcej?...



Oto praca, oznaczona go-dłem „Ziemia”, której — decyzją jury — przyznano jedną z dwóch równorzędnych II nagród w konkursie na Pomnik Powstańca Wielkopolskiego. Wszystkie prace konkursowe obejrzyć można na wystawie, która otwarta zostanie dzisiaj w Arsenale, na Sta-rym Rynku.

Fot. — K. Przychodzki

Aktor poznańskich teatrów dramatycznych — Edmund Pietryk — autor niżej publikowanego wiersza — jest wspólnie z poetą warszawskim, Jerzym Górczańskim — laureatem ogólnopolskiej nagrody poetyckiej.

Nagrodzony wiersz Edmunda Pietryka, nosi tytuł „Beethoven na przedmieściu”.

Edmund Pietryk

Rozmowa z rówieśnikiem

Pamięci Andrzeja Bursy

Więc czym jest dla nas śmierć?

W kinie oglądamy totalne pogrzeby żując czekoladki i dziewczyn uległość.

Na własne oczy znamy śmierć spod kół tramwaju, lub jak piszą gazety — śmierć za trzysta złotych.

A prawda, znamy również śmierci historyczne.

Ten pisarz i myśliwy chyba tysiąc razy unikał śmierci w wojnach lub na polowaniach, a strzelił sobie w gardło, sam jeden w swej willi wśród ciszy oceanu i wrzasku Ameryki.

Lub tamten polski pisarz, po stokroć i więcej w germańskiej licytacji przechodził codziennie przez próbę gazu, prochu, swędzących palonych. Wymierzył sobie wyrok, gdy czajnik wykpiął, a pokój jego stał się wielkim krematorium. Odrzucił zgon totalny, w tłumach patetycznych, wymierzył sobie wyrok śmierci kameralnej.

Więc czym jest dla nas życie?

Rówieśniku w spodniach z najnowszych żurnali z ilustrowanym piśmem sterczącym z kieszeni. Czy to jest bieg na przelaz do wątych edenów? Czy to jest owo zreżne ciała formowanie w swobodną nonszalanję, w pozycję wyjściową?

W Krakowie — poeta — niewiele od nas starszy co pisał wiersze piękne, wiersze złe, sceptyczne, w poezji swej sporządził akt swojego zgonu. Potrafił sam na sobie wykonać ten wyrok. Przyjaciel jego o nim napisał nowelę, na którą się złościł starzy kombataneci nie wiedząc, że ta sprawa jest jedną z niewielu prawdziwych, pięknych gestów... mówimy... pokolenia.

Wzruszamy ramionami — więc ci oto ludzie na wyłot przeniknęli sens życia i śmierci, żeby aż tak logicznie dokonać wyboru. (A starzy kombataneci będą się głowili, czy to jest tchórzostwo, czy to jest odwaga?).

Chodźmy więc do kina, czasem do teatru gdzie giną bohaterzy z jękiem kabotyńskim. Biernością oglądania, sztuką uśmiania pęcznią nadszereżowane główki dyletantów. I trwa bieg na przelaz i walka o udział w szaleństwach gorączkowych, mikrokarnawałów.

Mieczysław Skąpski

Dorobek myśli ludzkiej

Miłośnik książki mógł być zaskokowany: ponad 80 tysięcy najlepszych książek świata wyłożono jednocześnie na blisko dostępnych półkach w szeregu sal na trzech pionach Pałacu Kultury i Nauki. Wszystkiego

można niemal, albo i dosłownie, dotknąć, wziąć w rękę, bardzo uprzejmi informatorzy, o wszystkim udzielają wyczerpującej informacji. Nic więc dziwnego, że bibliofile ściągali do „pekinu” — jak pszczoły do ula. Nie widziałem na MTK ani jednego stoiska, przy którym nie byłoby rojno. Tylko w jednym miejscu byłam jedynym zwiedzającym (w danej chwili, oczywiście) — na Wystawie Grafiki Książkowej. Ci, co zlekceważyli ten niepotrzebnie może tak wyodrębniony w niższej kondygnacji Pałacu dział MTK, niech żałują: mamy w Polsce przepiękną i powszechnie za granicami uznaną grafikę książkową. Tutaj zaś zebrano w jednym miejscu wszystko, co w tej grafice najpiękniejsze. Uporządkujmy jednak wrażenia:

W tegorocznych MTK uczestniczyli przedstawiciele ONZ oraz 20 krajów: Anglii, Austrii, Belgii, Bulgarii, CSRS, Danii, Francji, Holandii, Indii, Izraela, Jugosławii, NRD, NRF, Polski, Rumunii, Szwajcarii, USA, Węgier, Włoch i ZSRR. Wystawcy ci reprezentowali około 2.000 wydawców, którzy zgrupowali swój dorobek edytorski na 166 stoiskach. W MTK uczestniczyło 130 największych i najpoważniejszych firm zagranicznych oraz 60 wydawnictw polskich.

Nowością organizacyjną było tym razem podzielenie całości ekspozycji na 7 działów tematycznych: książki naukowe, literatura techniczna, rolnicza i medyczna; wydawnictwa muzyczne i płyty; wydawnictwa artystyczne i albumy; słowniki, encyklopedie, literatura popularno-naukowa; wydawnictwa dla dzieci i młodzieży; literatura piękna. W ten sposób polskie książki znalazły się na MTK po raz pierwszy obok zagranicznych, co znakomicie ułatwia porównywanie poziomu. Podkreślił to m.in. — zwiedzając MTK, minister Wacław Tułodziecki: „Zestawienie to świetnie uwypukla nasze osiągnięcia edytorskie. Stwierdziłem, że w stosunku do starych, wielkich wydawnictw zagranicznych, uczyniliśmy dalszy krok naprzód”.

MTK odbywały się u nas po raz siódmy. W 1956 r. w Poznaniu wystawiało 21 wystawców zagranicznych, reprezentujących ok. 600 wydawnictw, a tytułów wystawionych książek było ok. 15 tys. Od 1958 r. MTK znalazły znakomite warunki w PKiN. — No i doszło do tych wspomnianych, 2 tys. wydawnictw i 60 tys. książek w tym roku.

Skąd takie zainteresowanie MTK? Trzeba z dumą powiedzieć, że wzrosło ostatnio na Zachodzie poważnie zainteresowanie polską książką, głównie naukową, techniczną, ekonomiczną, albumową, dziecięcą, drukowaną w Polsce w obcych języ-

kach. Poza tym, uruchomiono w Polsce eksport usług poligraficznych — który szybko rośnie i ma warunki dalszego wzrostu. W tym roku np. prawdopodobnie podwoi się w stosunku do roku ub. Wreszcie znacznie silniej, niż w przeszłości zdecydowaliśmy się na zakup licencji zagranicznych dla Polski. Chodzi tu o licencje, obejmujące zakup praw autorskich i wydawniczych do druku książek zagranicznych w obcych językach w Polsce. Jeśli dany tytuł i tak miałyby być sprowadzone w większej ilości egzemplarzy — zakup licencji zaoszczędza nam sporo dewiz.

Istnieje więc sporo powodów zainteresowania MTK. Dla wszystkich krajów naszego obozu, MTK stały się najpoważniejszą imprezą tego rodzaju i jedyną, oferującą tak duże możliwości przeglądu dorobku wydawniczego i zawierania różnorodnych i licznych transakcji. Dla wystawców zachodnich, MTK z kolei stanowią jedyną możliwość poznania pełnego dorobku

Po Międzynarodowych Targach Książki

stawowych językach światowych. Kupujemy rocznice książek za około 10—11 mln. zł dewizowych.

Ale MTK, to nie tylko handel, nie tylko efekty, mierzone milionami złotych i przegląd osiągnięć edytorskich. To także wielkie wydarzenie kulturalne, spotkanie dorobku myśli ludzkiej we wszystkich dziedzinach i z całego świata. Na targi przybyła kilkudziesięć tysięcy zwiedzających. Obejrżeli oni tę masę książek. Wielu zwiedzających, to specjaliści rozmaitych dziedzin, dla których kontakt z bieżącą literaturą jest podstawowym warunkiem ich pracy.

Pięknie wyraził się na ten temat prezes PAN, znakomity uczyony, prof. Tadeusz Kotarbiński: — „Pierwsze wrażenie, to ogrom dorobku myśli ludzkiej tu, na Targach. Wrażenie drugie — to owe rzeczy nadzwyczaj rzadkie, które rzucają się w oczy zwiedzającemu. Ołbrzymie wrażenie wywarła też na mnie rozmaitość i obfitość wystawionych książek. Po prostu, serce na ten widok, rośnie. Chciałoby się wszystkich do szczegółowo obejrzeć, przeczytać, no i mieć u siebie w domu na półkach”.

Niewątpliwie ten szeroki kontakt naszych specjalistów z pokazanymi na MTK książkami, będzie nowym, potężnym bodźcem do dalszej, twórczej pracy. To także wielki — choć

Dokończenie na str. 4

czy to było Morderstwo?

Ciąg dalszy ze str. 2

słupków drewnianych i oderwała się tylko z jednej strony. Hrabia usiłował ponownie ogrodzenie w ten sam sposób, jak je zasiał — dając miejsce to oznaczało śmierć dla pierwszego przybysza! Dokonawszy tego wycofał się w ciemnościach, czując się całkowicie rozbity i chory.

Następnego dnia, w drodze na Corso wraz z baronem, celowo zdradzał oznaki silnego zdenerwowania. Zaintrygowany tym baron (o co zresztą chodziło hrabiemu) począł dopytywać się o powod dziwne zachowania swego towarzysza. Po chwili wahania hrabia przyznał, że przyczyną jego rozterki psychicznej jest niezwykle sen jaki go nawiedził.

— Drogą Mackellar, znasz na tyle naturę ludzką, by być pewnym jednego: baron tak długo nie spoczął, dopóki nie usłyszał co to był za sen. Także hrabia będąc pewnym, że baron nie da łatwo za wygraną, trzymał go w szachu, aż do chwili gdy ciekawość barona osiągnęła punkt szczytowy, i wówczas uległ z pozorną niechęcią.

— Osirzegam cię — powiedział — z tego może wyniknąć coś złego — czuję to. Żaden z nas nie zasnę spokojnie, chyba że odpowiedzialność spadnie na twoją głowę. O to widziałem we śnie: jechałeś na koniu. Dokąd, tego nie wiem; sądzę jednak, że musiało to być niedaleko Rzymu, gdyż z jednej strony miałeś starożytny grobowiec, z drugiej grupę drzew charakterystycznych dla okolic Wiecznego Miasta. Zdawało mi się, że wolałem za tobą, być zawrócił — czując jednocześnie dojmujące przecucie grozy — nie wiem jednak, czy dosłuchałem mnie. Droga, którą jechałeś, zaprowadziła cię na opustoszałe miejsce wśród ruin. W murze były jakieś drzwi, a obok nich karłowata sosna. W tym miejscu zsiadłeś z konia. Podczas gdy ja ciągle nawoływałem byś się miał na baczności, ty przywiązałeś konia do drzewa i wszedłeś zdecydowanie przez drzwi. Za drzwiami panowała ciemność, lecz ja we śnie widziałem cię nadal i wciąż błagałem, byś się zatrzymał.

Posuwając się wzdłuż prawej ściany doszedłeś do rozwidlenia i skierowałeś się na prawo. Tą drogą doszedłeś do małej izby, w której znajdowała się słudnia ołoczona poręczą. Teraz — nie wiem doprawdy dlaczego — niepokój mój wzrósł tysiącokrotnie. Zdawało mi się, że krzyczę aż do całkowitego ochrypnięcia, dając ci do zrozumienia, iż jeszcze nie jest za późno na odwrót. Wykrzykiwałem słowa ostrzeżenia, które we śnie miały jasne znaczenie, lecz teraz na jawie wyznam, że nie wiem jak one brzmiały. Pomimo moich usilnych nawoływań nie zwróciłeś na mnie najmniejszej uwagi i pochyliliś się nad poręczą patrząc uważnie w dół. I wówczas zaszedł pewien związek między tobą a tą dziwną historią, nie sądzę bym teraz mógł wywnioskować co to było, lecz obawa przed tym wyrwała mnie ze snu i obudziłem się jęcząc i drżąc na całym ciele.

— A teraz — zakończył hrabia — pragnę wyrazić ci moją wdzięczność za to, iż nalegałeś, bym zwierzył ci się z tego, co mnie gnębi. Ten sen ciążył mi jak brzemień i oto teraz, gdy opowiedziałem o tym prostymi słowami w jasnym świetle dnia, wydaje się być nic nie znaczącym i nieważnym.

— Nie wiem — rzekł baron, — czy masz rację. Z pewnych względów jest to dziwne. Związek, powiedziałeś...? Czy tak? To dziwny sen...

— Tak, ale ten dziwny sen również dobrze mógłby posłużyć jako dobra historia dla rozbawienia naszych przyjaciół.

— Nie jestem tego pewny — zauważył hrabia. — Przyznam się, że wolałbym już do tego nie powracać. Raczej zapomnijmy o tym.

W parę dni później hrabia zaproponował konną przejażdżkę. Baron (zważywszy, że z każdym dniem zacierały się między nimi więzy przyjaźni) bardzo chętnie zaakceptował ten pomysł. Kierując się w drogę powrotną do Rzymu, hrabia rozmyślnie zboczył prowadząc tą właśnie szczególną drogą, którą sam niegdyś jechał. W pewnym momencie szarpnął raptownie cugle wsłizgując konia, zakrył oczy rękoma i krzyknął z przerażenia. Po chwili odjął ręce od twarzy (był teraz bledy jak papier — hrabia był doskonałym aktorem!) wpalując się uporczywie w barona.

— Co się z tobą dzieje? — zawołał zaniepokojony baron. — Czy stało się coś złego?

Dokończenie na str. 4

Eugeniusz Lech

Stażysty droga cierniowa

o żywy student jest to kłopot dziki... Te słowa mistrza Gałęzińskiego można obecnie poświecić absolutem wyższych uczelni, którzy już od dłuższego czasu wiele kłopotów przysparzają ministrom i dyrektorom zakładów pracy, rektorom i ojcom miast. Zgrzyty, zawiedzione ambicje i plany, nieprzestrzeganie przepisów i brak konsekwencji towarzyszą realizacji ustawy o wstępnym stażu pracy.

Przed trzema laty z zachwytem mówiono tylko o pozytywnych stronach tego dokumentu. Staż pracy miał podnieść kwalifikacje zawodowe absolwentów, umożliwić im zapoznanie się z macierzystym zakładem pracy, z organizacją i procesem produkcji. Absolwentom miało zagwarantować opiekę i pomoc fachowców.

Jednak w praktyce, wbrew intencjom ustawodawcy, staż pracy przyjęto jako zakamulowany policzek wymierzony naszemu szkolnictwu wyższemu, dopatrzono się smutnej prawdy: uczelnie wypuszczają „wybrakowany towar”, dają tytuły ludziom niedouczonej, nad którymi trzeba jeszcze pracować. Ale i ta „praca” nad stażystą wygląda bardzo mizernie.

Zakładom pracy powierzono losy tysięcy młodych z dyplomami w kieszeniach. To dowód wielkiego społecznego zaufania. Gospodarka oczekująca poważny niedobór wysoko kwalifikowanych kadr. W 1965 roku będziemy mieli o 9 tys. za mało fachowców z wyższym wykształceniem.

Tymczasem dziś w zdecydowanej większości zakładów staż pracy, niezbędny okres dla zdobycia praktycznych kwalifikacji zawodowych — nie jest należycie wykorzystywany, można dodać — marnowany. Litera

prawa pozostaje na papierze. Jak informują w Radzie Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich, stażysty traktowani są w większości zakładów jako zło konieczne. Fikcją jest też jakie niezbędna instytucja opiekunów stażystów.

— Nie mam czasu dla stażystów, przeszkadzają mi tylko w pracy — mówi młody inżynier z Kombinatu Turoszowskiego, któremu dyrekcja poleciła opiekować się „świeżo upieczonymi” absolwentami. — Nikt mi za sprawowanie opieki nie płaci, nikt nie myśli o obniżeniu moich zadań produkcyjnych...

Jest to motywacja bardzo typowa w dyskusjach o stażach pracy. Absolwenci pozostawieni samopas blakają się po działach bez konkretnych zadań produkcyjnych, wykonują prace nie wymagające prawie żadnych kwalifikacji, lata się nimi w zakładzie przysłowiowe dziury.

Przez takie marnotrawstwo czasu i pieniędzy traci państwo i młody absolwent. Nie stać nas na taki luksus. Kształcenie studenta kosztuje 20 tysięcy złotych rocznie. A do tego trzeba dodać względy czysto ludzkie. Przecież sytuacja materialna stażystów nie jest godna porównania z warunkami życia w społeczeństwie. Średnia pensja tego, skromnie mówiąc wykwalifikowanego „robotnika” i dojrzałego człowieka wynosi 1200 zł miesięcznie. Przez dwa lata. Obowiązujące przepisy o wynagrodzeniach i świadczeniach na rzecz stażysty dopuszczają

ją dowolną interpretację. Uchwała Rady Ministrów przewiduje na przykład dla stażysty najniższe wynagrodzenie ustalone siatką płac dla stanowiska, na które taki stażysta jest przewidziany po złożeniu egzaminu kwalifikacyjnego. I to jest słuszne. Ale w małych i średnich zakładach pracy województw centralnych przynajmniej się wynagrodzenie w ogóle najniższe dla pracowników zatrudnionych w produkcji. Stażystę — czytamy w uchwale RM — mają prawo do 20 proc. premii po roku pracy, prawo do zapomóg na zagospodarowanie, do ubiegania się o przydziałowe mieszkanie. Mają prawo... I najczęściej nie nie otrzymują.

Idea stażów pracy jest wypaczona. Wyjątek od smutnej reguły stanowią duże zakłady. Takich jest w kraju niewiele: Zakłady Cegielskiego w Poznaniu, Gdańska i Szczecińska Stocznia, Huta im. Lenina, warszawskie Zakłady im. Nowotki i kilkanaście innych. Tam stażystom stworzono odpowiednią atmosferę pracy i nauki, otoczono ich koleżeńską opieką. Na przykład w Zakładach im. Cegielskiego wygospodarowano 30 etatów dla komórek szkoleniowej z przeznaczeniem dla stażystów, spośród brygadystów i majstrów przeszkolono opiekunów stażystów, ustanowiono dla nich zryczałtowane wynagrodzenie. Stażystę są oczekiem w głowie dyrekcji zakładów. Opracowano tam

dokładne programy stażów, wprowadzono indeksy, w skład komisji kwalifikacyjnych wchodzi wybitni fachowcy, którym obca jest zawodowa zawiść. Toteż od Cegielskiego młodzi inżynierowie nie uciekają.

Te budujące przykłady świadczą o społecznych korzyściach płynących z dobrze rozumianej i realizowanej ustawy. Trzeba popularyzować i kopiować te dobre doświadczenia. Pomoc tu powinny zainteresowane resorty, CRZZ, zjednoczenia, samorządy robotnicze.

Do sprawnego funkcjonowania systemu stażów konieczna jest też nowelizacja obowiązujących przepisów i zarządzeń. Należy usunąć z nich sformułowania umożliwiające dowolną interpretację na niekorzyść stażysty, przy równoczesnym jednak zdecentralizowaniu uprawnień w dziedzinie stażów. Więcej uprawnień, no i oczywiście, wpływających z nich obowiązków, należy nadać gospodarzom zakładów pracy — konferencjom samorządu robotniczego. Tu szczególnie słuszny jest postulat Komitetu Centralnego ZMS, aby zakładom pracy przekazać uprawnienia pozwalające skracać staż pracy w indywidualnych przypadkach do jednego roku. Wśród tysięcy młodych ludzi opuszczających corocznie wyższe uczelnie, jest wiele jednostek utalentowanych o wybitnych urodzeniach. Ci młodzi, przy należytej opiece, szybciej zdobywają w zakładzie pracy odpowiedni zasób wiedzy praktycznej, szybciej mogą kierować odpowiedzialnym odcinkiem produkcji. Dziś na skrócenie stażu pracy musi wyrazić zgodę Minister Szkolnictwa Wyższego, w porozumieniu z Ministrem Finansów i Przewodniczącym Komitetu Pracy i Płac. Odpowiedź przychodzi często, gdy... absolwent kończy już normalny, dwuletni staż.

Wybieramy najlepsze filmy

W ubiegłą niedzielę ogłosiliśmy — wspólnie z Centralą Wynajmu Filmów — konkurs-plebiscyt pt. „Wybieramy najlepsze filmy”. Ponieważ — jak świadczy lista naszych Czytelników — konkurs wzbudził duże zainteresowanie, zamieszczamy dziś ponownie kupon konkursowy, zapraszając tych Czytelników, którzy dotychczas nie wzięli udziału w konkursie, do wypełnienia kuponu i wysłania go pod adresem: „Głos Wielkopolski”, Poznań, ulica Grunwaldzka 19.

Niestety — nie możemy powtórnie wydrukować listy 121 filmów plebiscytowych, gdyż zajęłaby ona zbyt wiele miejsca. Zwracamy jednak uwagę, że lista ta znajduje się na afiszach rozwieszonych w kinach oraz na słupach ogłoszeniowych.

Wypełnione czytelnice kupony prosimy nadsyłać w zamkniętych kopertach z dopiskiem „FILM”, przy

czym na odwrocie koperty prosimy nie umieszczać nazwiska i adresu wysyłającego. Wśród wszystkich uczestników konkursu-plebiscytu rozlosujemy wiele nagród, jak: adapter, lampę stojącą, parasolkę, zegarek na rękę, budzik, materac turystyczny, wazon ozdobny, wieczne pióra, torby turystyczne, okulary słoneczne i ciekawe książki o filmie.

Zwracamy jednocześnie uwagę, że wyniki konkursu-plebiscytu będą brane pod uwagę przy ustaleniu repertuaru w okresie Dni Filmu Polskiego (we wrześniu br.), a jednocześnie mogą dać ciekawe materiały o sprawach filmowych w ogóle. I dlatego prosimy, by możliwie największą ilość Czytelników wzięła udział w naszym konkursie-plebiscycie. Przypominamy: termin nadsyłania kuponów mija w dniu 10 czerwca br. A więc — czekamy.

KUPON KONKURSOWY

1. Które z listy 121 filmów polskich obejrzałeś najchętniej, Ty lub Twój najbliższy znajomy? (Wymień 10 filmów, posługując się — zamiast pełnymi tytułami — liczbami od 1 do 121, wg zamieszczonej listy. Kolejność obojętna)

2. Których filmów — z tych 121 w ogóle nie oglądałeś? (Również podaj liczby wg listy)

3. Czy podczas Dni Filmu Polskiego obejrzałeś chętnie zestaw najlepszych polskich filmów krótkometrażowych? (eksperymentalne, dokumentalne, rysunkowe, kukielkowe itp.)

4. Czym kierujesz się głównie w wyborze filmu (każdego), gdy idziesz do kina? Nazwiskiem reżysera — aktorów — fotosami — recenzją — zdaniem znajomych — jest to ci obojętne (odpowiednie podkreślić)

5. Jak często chodzisz do kina? Przeciętnie: rzadziej niż raz na kwartał — raz na kwartał — raz na miesiąc — dwa razy w miesiącu — raz w tygodniu — częściej (odpowiednie podkreślić)

6. Czy — Twoim zdaniem — „Głos Wielkopolski” pisze o filmach: za wiele — wystarczająco — za mało? (odpowiednie podkreślić)

Jeżeli masz jakieś uwagi, dotyczące filmów polskich, możesz napisać o tym na oddzielnej kartce. Np. w jakiej dziedzinie filmy polskie nie zaspokajają Twoich zainteresowań lub zaspokajają je w zbyt nikłym stopniu? Jakiego filmu polskiego chciałbyś oglądać częściej? Odpowiedzi — według uznania, byle szczere.

Imię i nazwisko

wiek zawód

Twój adres

czy to było morderstwo?

Dokończenie ze str. 3

— Nie — odrzekł hrabia — to nic. Sam nie wiem co mi jest. Wracamy zaraz do Rzymu.

Baron tymczasem rozejrzył się wokoło. I oło po lewej stronie drogi, którą wracali do Rzymu, ujrzał pokryte pyłem drogi miejsce dziwnie znajome, z grobowcem po jednej stronie i grupą drzew po drugiej.

— Tak, wracamy jak najprędzej do Rzymu, boję się o twoje zdrowie.

— Masz rację — krzyknął hrabia wdrygając się, — powinienem na tych- miast położę się.

Wrócili w milczeniu. Po powrocie hrabia, choć przyrzekł złożyć pewną wizytę, położył się do łóżka oznajmiając, że został dotknięty febrą.

Na drugi dzień, pośród samofnnych ruin znalazł przynajmniej jedno do drzewa konia. Był to wierzchołek barona. O nim samym zaś nie usłyszano już więcej od tej pory.

A więc — czy to było morderstwo? — zakończył przerywając opowieść.

ROBERT L. STEVENSON

Dorobek myśli ludzkiej

Dokończenie ze str. 3

niewymierny, rezultat tej pięknej imprezy.

Wśród wydawnictw z całego świata znaleźliśmy także stoisko naszego beniaminka — Wydawnictwa Poznańskiego. Bierze ono udział w MTK już po raz piąty. Jak wiadomo, WP obchodziło niedawno mały jubileusz z okazji wydania swego — 300 tytułów o objętości 3 tys. arkuszy wydawniczych i nakładzie 2 milionów egzemplarzy. Na MTK eksponowało 180 tytułów, z czego 140 stanowiły nowości z lat 1960—1962.

Wydawnictwo Poznańskie pokazało, rzecz jasna, swoją specyfikę — prace naukowe i popularno-naukowe oraz literaturę piękną. Autorzy tej literatury, też specyficzni: naukowcy i literaci środowiska poznańskiego oraz ziem zachodnich. Tak określony profil wyodrębnił się na MTK wyraźnie, był, można tak powiedzieć, niepowtarzalny. Jeszcze raz pokazało się, jak ważną jest rzeczą ściśle sprofilowanie małych wydawnictw terenowych, które, przecież inaczej nie mogłyby nawet marzyć o współzawodnictwie z takimi kolosami wydawniczymi, jak: PIW, Czytelnik czy PWN.

Międzynarodowe Targi Książki minęły. Teraz oczekujemy ich rezultatów, m.in. na półkach księgarskich. A przed poznaniakami — już za kilka dni atrakcje MTP.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Eugeniusz Paukszt

Morze, nasze morze

Szczególnie uroczyste obchody będziemy w tym roku „Dni Morza”. Rośnie nasz potencjał gospodarczy nadmorski, coraz silniej zacieśniają się więzy łączące społeczeństwo z Bałtykiem. Dobrze się dzieje, że i literatura stara się sprostać tym zasadniczym przemianom, czyniąc to głównie za staraniem Wydawnictwa Morskiego, którego pozycjami zajmę się w dzisiejszym przeglądzie.

Zacząć chyba wypada od konsekwentnie kontynuowanej serii wydawnictw albumowych. Bardzo cenną pozycją, choć może cokolwiek specjalistyczną, będzie na pewno praca Jerzego Micińskiego i Stefana Kolickiego „POD POLSKĄ BANDERĄ”, poświęcona polskim statkom pływającym pod biało-czerwoną banderą oraz tym, które odeszły już z naszej floty. W sumie 1200 statków i 400 sylwetek, z krótkimi danymi o każdej jednostce, jej dziejach, stażu, obecnej pracy. W sumie powstaje z tego jak gdyby historia polskiej floty handlowej, z odbiciem imponującego okresu powojennego rozwoju. Drugi album opracował Jerzy Pietkiewicz, dając mu wymowny tytuł „OKRETY PRZYSZŁOŚCI”, a do strony ilustracyjnej przybierając do pomocy St. Szymańskiego. Bardzo to pasjonująca lektura, taka wizja przyszłości żeglugi, opis narodzin atomowców, dzieje pogoni za szybkością, automatyzacji na okrętach, floty pasażerskiej i towarowej jutra, nie bez pominięcia także okrętów wojennych ery atomowej. Tekst napisany jest przystępnie, przynosi przy tym szereg nieznanych wiadomości.

Warte zalecenia są dwie polskie powieści współczesne, związane z życiem miast portowych. Dobrze się stało, że popularna na Wybrzeżu powieść radiowa Stanisławy Fleszarowej — „MILIONERZY” po pewnych przedrukowaniach i uzupełnieniach dokonanych przez autorkę, wydana została drukiem. Historia fabularna, osnuta wokół budowy pierwszego polskiego zbiornikowca w Stoczni Gdańskiej, podana jest żywo, nie ma tutaj natrętnej produkcyjności, natomiast zreczne stopień losów osobistych bohaterów z tym wielkim wydarzeniem w historii naszych stoczni. Jedno tylko mnie razi, to, że wydawnictwo najzupełniej niepotrzebnie umieściło na początku książki fragmenty entuzjastycznych listów słuchaczy „Milionerów” do rozgłośni Polskiego Radia. Taka reklama, natrętna i niesmaczna, jest tej ciekawej skądinąd książce wcale niepotrzebna. Druga powieść współczesna, to debiut dziennikarza Stanisława

Goszczynskiego „MEWY”, ukazujący ciemne, wstydliwe strony portowego miasta, rzecz oparta o wiarygodne obserwacje i autentyczne materiały. Dobre studium obyczajowe, a i objawiający się niezgorzany pazur literacki.

Ambitnym zamiarem było sięgnięcie przez Sławomira Sierackiego po nieznany zupełnie temat dziejów Srodkowej Azji jeszcze przed naszą erą. Wybierając zaginioną cywilizację Chozezmu — sześćdziesięciu warownych miast w okolicy gór Sultana-Uiz-Dag, nie opodal ujścia Amu-darii do Morza Okazańskiego (Arałskiego), autor zapoznał się na miejscu z prowadzonymi tam pracami wykopaliskowymi, potem zaś przestudiował bogatą literaturę. W sumie powstała interesująca i tematem i fabułą powieść z II wieku przed naszą

erą, opiewająca fragment dziejów zaginionego w wirze historii Chozezmu. „WROTA PUSTYNI” warto zalecić jako naprawdę intrygującą lekturę.

Z przyswojeń z języków obcych na czoło wysunąłbym opowieść Arthura C. Clarke’a o ekspedycji w podwodny świat Pacyfiku a wybrzeży australijskich pt. „TAJEMNICE KORALOWYCH RAF”, bogactwo przygód, nieznaną kraj i dziwy jego wód, niebezpieczne przygody — wszystko uzupełnione świetnymi zdjęciami podwodnymi — stwarzają nader ciekawą i pouczającą lekturę.

Dobrze się stało, że Wydawnictwo Morskie przetłumaczyło staraniem Adama Marcinkowskiego powieść morską popularnego pisarza angielskiego minionego wieku, Fryderyka Marryata, „PRZYGODY PIOTRA SIMPLE’a”, będące po części autobiografią pisarza, komandora armady angielskiej, przynoszą mało znany, a naprawdę pasjonujący obraz życia i zwyczajów na wojennych fregatach w początkach ubiegłego stulecia.

W drugiej połowie XVIII wieku rozgrywa się inna opowieść, „CZARNY KSIĄŻĘ” Verney’a Lovetta Camerona. Czas wojny siedmioletniej, gdzie także i starcia morskie decydowały o zwycięstwie, czas pomnożenia w wyniku brytyjskich sukcesów ich posiadłości zamorskich. Szerokie tło handlu niewolnikami, obraz korsarskich rejsów, dzielność ale i okrucieństwo ludzi morza, kulisy wielkiej polityki brytyjskiej, uroda oceanów — oto niektóre z tematów przebiegających tę interesującą, choć nieco także tracącą już myśkającą książkę. Jako materiał poznawczy, ale i bajeczna opowieść o świecie zdobywanym rejsami fregat, lektura godna zalecenia.



Los prokuratora

Polityka z 2 czerwca br. zamieszcza interesujący artykuł Zygmunta Szeligi pt. Niedopasowani, zaczynający się słowami: „Sędownicy dzielą się na: towarzyszy prokuratorów, obywateli sędziów i panów obrońców”. Artykuł poświęcony jest omówieniu roli i niedoli urzędu prokuratora, kłopotom i dziesiątkom problemów, jakie stoją do rozwiązania przed każdym prokuratorem.

„W pojedynku przestępca — prokurator ten pierwszy, wbrew pozorom, znajduje się w położeniu bez porównania lepszym. (...) Myśli tylko o jednej, a o niej w sprawie, dla poświęca cały swój wysiłek intelektualny. Dla prokuratora ta sprawa jest tylko jedną z stu, aktualnie ciążących na jego „koncie”. (...) Każda sprawa, to przecież jakiś problem, „kawalek życia”. Choćby chciał się, to nie można o tym zapomnieć. (...) Korytarsze prokuratury i sądu zapelnione są tłumami zainteresowanych. (...) „Panie prokuratorze, co z moim mężem?”, „Panie prokuratorze, on jest naprawdę niewinny”, „Czy on musi siedzieć, panie prokuratorze? My nie mamy za co żyć...”

Prokurator narażony jest na konflikty i to nie tylko ze światem przestępców ale również ze swoim środowiskiem, niekiedy nawet z Komitetem Powiatowym. Oto sekretarz KP Partii w N. zażądał przeniesienia na inny teren szefa prokuratury powiatowej, mimo że poprzednio wielokrotnie chwalił prokuratora. Na końcu litani wielu zarzutów znalazł się następujący: nie aresztowanie ob. A. oraz ob. B. I to właśnie stanowiło istotę całego konfliktu.

„Sekretarz rzucił na szalę cały swój autorytet. Dopiero osobista interwencja I sekretarza KW spowodowała zmianę stanowiska sekretarza KP. Trwa więc zaklepana zgoda sekretarza z prokuratorem. Czy jednak na trwałe?”

To nie są jedyne konflikty „niedopasowanych ludzi” z ich środowiskiem. Prokurator w swej pracy napotyka czasem na nacisk w takiej czy innej formie. Prokurator musi walczyć, przeciwstawiać się wpływom z zewnątrz. Na szczęście, w swej walce o praworządność na ogół nie jest odosobniony. Czy jednak wszyscy doceniają jego odpowiedzialną rolę w społeczeństwie?

Proces Salana

Na łamach Nowej Kultury ukazała się obszerna korespondencja Jana Gerharda z Paryża pt. Na procesie Salana.

„Miał to być „proces epoki”, „największy proces polityczny Francji od wyzwolenia”, „najciekawszy proces naszych czasów”. Tak przynajmniej głosiły w większości pisma zachodnie. (...) Teraz, kiedy przewód sądowy jest zamknięty, wiadomo, że nie był to ani „proces epoki”, ani „największy”, ani „najciekawszy”. Zbyt wiele spraw pozostaje niewyjaśnionych (...), aby można było wysnuwać wnioski na temat „wielkości” tego, co rozgrywało się w tych majowych dniach przed paryskim Wysockim Trybunałem Wojskowym.”

Cały przewód przebiegał pod znakiem milczącej umowy między stronami, że nie będą wyciągać na światło dzienne spraw dla siebie niewygodnych, że nie będą mówiły wszystkiego. Temu też należy przypisać skazanie Salana tylko na karę dożywotniego więzienia. Nie może być mowy o zaskoczeniu — pisze autor — czy „nie spodzianie”. Jaki przewód — taki wyrok.

Nie potrzeba pisać, dlaczego ultrasi triumfuje. „Wyrok na Salana to nie tylko pozostawiona bezkarnie zbrodnia. To zachęta do zbrodni” —

napisał jeden z paryskich dzienników. Jak to się skończy? Do czego Francja zmierza?

Investycyjne kłopoty

Tadeusz Sapociński publikuje na łamach Tygodnika Demokratycznego artykuł pt. Perturbacje z miliardami, dotyczący harmonijnego rozwoju gospodarki narodowej, a ściślej mówiąc — inwestycji. W pięciolatce przeznaczono na inwestycje 624 miliardy złotych na budowę nowych zakładów i rozbudowę istniejących. Niestety, z wykorzystaniem tych sum nie zawsze jest najlepiej.

„Przekraczanie cyklu budowy, niedopracowane i nierealne kosztorysy, a nade wszystko nieodpowiednie przygotowanie dokumentacji dla danego obiektu, powodują, oczywiście, określone ingerencje, ale już po fakcie. Lepiej późno niż wcale...”

Perturbacje powoduje również brak tak zwanej mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych, nie mówiąc już o opóźnieniach w sporządzaniu dokumentacji.

„1 stycznia br. brak było dokumentacji projektowo-kosztorysowej dla pozycji inwestycyjnych, na które przeznaczono 7.280 milionów zł (8,4 proc. tegorocznych funduszy). W związku z tym, banki musiały zablokować blisko 5,1 miliarda zł ze środków inwestycyjnych, zaplanowanych na br.”

Znamy to zjawisko również z naszego podwórka. Przy czym nie tylko dotyczy ono dokumentacji projektowo-kosztorysowej, ale również dokumentacji potrzebnej w trakcie wykonywania. Niżej podpisany słyszał od wiarygodnych osób, że przy budowie wielkiego hotelu „Orbis” również są kłopoty z dokumentacją. Nie jest to zjawisko pożądane i na pewno przeszkadza w planowej realizacji budowy.

Wańkowicz o Żukrowskim

Na łamach Przeglądu Kulturalnego warto przeczytać recenzję, a właściwie esej Melchiora

Wańkowicza pt. Pamiętliwe słonie, poświęcony książce Wojciecha Żukrowskiego pt. Wśród miliona słoni. Wańkowicz z satysfakcją wita w Żukrowskim klasycznym reportażu. Rzecz nie tyle zasługuje na uwagę, że jest obszerna i napisana ze znajomością oraz normalną u Wańkowicza swadą, ale dlatego, iż Wańkowicz to przecież klasyk polskiego reportażu.

„Skala pisarska Żukrowskiego — pisze Wańkowicz — jest zbyt wielka, by go „uczyć”. Można się tylko — domagać. Jak psy słyszą wibracje niedostępną, tak i rasowy pisarz, jakim jest Żukrowski, słyszy wielkiego niemowę — czytelników. Tkwiąc wśród ich milionów, niechże doceni i ich pamięć nie mniejszą niż legendarną pamięć miliona słoni.”

Nowy cykl Kisiele

Po przerwie spowodowanej — jak sam autor pisze — podróżami i względami zdrowotnymi, Kisiel rozpoczął na łamach Tygodnika Powszechnego nowy cykl felietonów „Głową w ścianę”. Autor przebywał między innymi w NRF, odbył szereg spotkań z ludźmi najrozmaitszych zawodów i stanowisk:

„W sumie myślę, że gadania moje były dla Polski pożyteczne. Rzadko się zdarza, żeby ktoś od nas pojechał do Bundesrepublik i tyle gadał, a szkoda: prostoduszni mieszkańcy tego, dziwnego, a nie zwykłego kraju wyprowadzają stąd wnioski, że w Polsce niedźwiedzie nie tylko chodzą po ulicach, ale również zajmują się propagandą. Na szczęście obojętnie nie przypominam — niedźwiedzia — bołatem zresztą nad tym od dzieciństwa.”

Stara to prawda i nie pierwszy Kisiel ją odkrył: nie umiemy „sprzedać” swoich wielkich osiągnięć za granicą. Gdzie nam w tej dziedzinie do naszych południowych sąsiadów!

LEKTOR